



Pozycja Ibsena — demaskatora purytańskiej teologii i moralności mieszczańskiej w grodzie klasyków światowego dramatu jest niekwestionowana. Jak w wypadku każdego z wielkich, tak i tu, pojawiają się pewne kłopoty insecenizacyjne.

Na atmosferę i klimat końca XIX wieku realizator nie może liczyć. Mimo wszystko starszek świat posunął się co nieco do przodu. To, co wtedy wzbudzało namiętności, szokowało, irytowało, dziś przechodzi bez drgnienia powiek, wręcz wywołuje uśmiech. Słowem, realizacja takiego dramatu jak „Upiory” wymaga, moim zdaniem, od reżysera bądź niebanalnej koncepcji scenicznego odczytania utworu, bądź dbałości i stałań wręcz akademickich.

Kolejną sztukę wystawioną w Teatrze Kameralnym we Wrocławiu postanowiłem obejrzyć tym razem bez premierowo-nobliwej zadyszki i artyzowsko-towarzyskiej egzaltacji. Boję się teraz, że nie wyszedłem na tym zbyt dobrze. „Upiory” oglądane w szarym dniu, o niecodziennej porze (16.00) rozczarowują. Rudolf Ziolo nie znalazł recepty na atmosferę. Nie czuje się na scenie niczego niesamowitego, nic nie „wisi w powietrzu”. Monotonia środków wyrazu męczy, napięcia rażą sztucz-

nością. Nie jest to ani tragedia, ani — jak przewrotnie podstępuje Jan Kowalski — w tym dramacie na dialektycznej zabawie przeszłości z przyszłością — komedia. Przeciwnie Ibsen na kanwie dydaktycznego dramatu o rozpustnym kapitanie, żonie, która porzuca męża (po to, by doń powrócić i żyć dalej) przykładnie i obłudnie, o pełnym tchórzostwa i hipokryzji pastorze, konstruuje jakąś ponadczasową prawdę o kondycji ludzkiej, pełnej pęknięć psychiki. Jego bohaterowie żyją rozdarci między światem obowiązujących norm i wartości a trawiącym je fatum. U Ibsena przewrotnie „wyższą konieczność” uosabiają krętki blade szfillsu. Choroba torzy wszystkim noza, jak się okazuje, najzdrowszą (o zgrozo) Reginą. Pozostałe postacie autor traktuje z pogardą i sarkazmem.

W Teatrze Kameralnym „Upiory” są bezbarwne i rapierowe. Sytuacji nie ratuje bynajmniej niecierzem siana, chyba, pełna „dziur” i niekonsekwencji scenografia An-

drzeja Witkowskiego. Poza udanym, uwspółcześnionym przykładem (Jacka Fruhlunga uzupełnił Ryszard Ziobro) zwraca uwagę doborowa stawka aktorów. Tu tylko wyczułem dobrą rękę reżysera (ale rzemiosło to jeszcze nie twórczość) — w ustawieniu niektórych scen i postaci. Przyczym o ile panowie (nie wiem czy najszcześliwiej dobrani) nie zaskakują odejściem od właściwego im rzetelnego poziomu, to paniom warto poświęcić parę słów. Teresa Sówka potwierdza swą prawdziwą klasę, nadaje pani Alving pewne „cechy, nieobce u Ibsena, które w tym wypadku się sprawdzają. Drugi najjaśniejszy punkt tej insecenizacji to niezwykle udana rola Ewy Skibińskiej (Regina) — jak się okazuje dojrzałej aktorsko, sprawnej warsztatowo i pełnej jakiejś wewnętrznej pasji. Takiej właśnie nowej, kobiecej, świeżej twardzi brakowało w tym teatrze.

Chwała dyrektorom, którzy współpracują z uznaniem, dobrymi reżyserami, ale biada tym drugim, gdy nie mają dość siły by wyjść poza teatralną codzienność.

ROMAN ROZAŃSKI

„Upiory” Ibsena, przekład — J. Fruhling i R. Ziobro, reż. — R. Ziolo, scen. — A. Witkowski, muzyka — Janusz Stoklosa, Teatr Kameralny — Wrocław 9.12.86.